Rocznik III. **Kraków 1-go lipca 1911.** **(Półrocze II-gie) Nr. 1.**

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok: **5** kor. — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

Od wydawnictwa.

Prenumerata „Swiatła“ wynosi odtąd, tj. od tego półrocza i nadal rocznie: **4** kor. — półrocznie **2** kor. Podwyższamy prenumeratę o **1** kor. na rok, a na pół roku o **50** hal., bo powiększamy objętość pisma o 4 stronice druku w każdym numerze, dajemy nadto ryciny i osobną okładkę, a to wszystko zwiększyło znacznie koszta wydawnictwa.

Kościół katolicki a żydzi.

Każdy, kto choćby powierzchownie śledzi obecne wypadki świata, przyznać musi, iż w wielu krajach Europy sprawa żydowska troską i obawą przejmuje chrześcijan, bo coraz widoczniejszem jest, że żydzi dążą do zupełnego zawojowania chrześcijan na każdem polu.

Do tego smutnego stanu doprowadziły chrześcijan dwie rzeczy: błędne pojęcie o celu bogactw, fałszywy kierunek ich używania, oraz nieposłuszeństwo i lekceważenie przepisów Kościoła katolickiego, odnoszących się do stosunku chrześcijan do żydów.

Bogactwo i pieniądz stały się od pewnego czasu bożyszczem ludzi tegoczesnych, a to pragnienie złota wyrodziło w sferach wyższych społeczeństwa samolubstwo i próżność, w sferach zaś niższych u biedaków, rodzi żądza grosza nadmierną chciwość i inne występne namiętności.

To złe pojęcie o celu i użyciu bogactw oddaje nas także na łup żydostwu, bo pieniądz stał się dziś panem świata, a żydzi mają pieniądz. Odstąpiliśmy od Ewangelii, zaczęliśmy bić pokłony złotemu cielcowi, co żydzi wnet zauważyli i zdobywszy bogatwa, zaczynają rządzić chrześcijanami.

Drugim powodem wzrostu wpływu żydowskiego było i jest lekceważenie przepisów i przestróg Kościoła odnoszących się do żydów. Od dawna wołał Kościół: »strzeżcie się żydów«, ale głosu jego nie słuchano.

Doskonałą rozprawkę o prawodawstwie kościelnem co do żydów, ogłosił przed kilkoma laty pisarz francuski, p. Tuvenne Aucias, w pewnem czasopiśmie katolickiem.

Wspomniany autor pisze, iż Kościół katolicki zajmował się sprawą żydowską, jak i tylu innemi sprawami, na długo przed dzisiejszymi mędrcami i politykami, i że umiał on znaleść i podać najlepsze jej rozwiązanie, najkorzystniejsze dla interesów ludów.

Pierwszym, który się zajął sprawą żydów, był sobór odbyty w Elwirze w Hiszpanii, przed końcem dziesiątego prześladowania chrześcijan. Jeden z kanonów tego soboru zabrania wiernym dawać córki swe w małżeństwo żydom, inny znów zakazuje nawet jadać z nimi.

W wiekach następnych, liczne sobory powtórzyły powyższe wzbronienia. Koncylium odbyte w Macon (580 roku po Chrystusie) zabrania żydom wykonywania funkcyi, do których przywiązane jest prawo wymierzania kar chrześcijanom. A dziś, jakże jest inaczej. Iluż to dziś żydów zasiada w trybunałach Europy!

Sobór zgromadzony w Awinione (1409 roku) zabronił chrześcijanom wchodzić w jakiekolwiek pieniężne interesa z żydami, żydzi zaś skazani byli na zwrócenie tego, co zdobyli za pomocą lichwy.

Czwarty sobór Lateraneński ponowił owe wyroki i zakazał żydom żądać zbytecznych procentów pod groźbą »pozbawienia ich wszelkich stosunków z chrześcijanami«. Nie wolno im było sprawować żadnych publicznych urzędów, a gdyby się to stało, karanym był jako przestępca nadający żydowi urząd; żydowin zaś odwoływanym był sromotnie i zmuszonym oddać Biskupowi, na korzyść ubogich, wszelkie w urzędzie zyskane pieniądze. Wtedy też

polecono żydom wyróżniać się od chrześcijan strojem, lub jakąkolwiek widoczną oznaką

Oprócz tych dokumentów, p. A. Turenne przytoczył wiele innych uchwał soborów i rozporządzeń Papieży, a z nich wynika, iż Kościół nie zmieniał nigdy pojęć swoich i postępowania względem żydów, jakkolwiek zawsze potępiał gwałty, których niekiedy stawali się żydzi ofiarą ze strony podrażnionych i do ostateczności przywiedzionych ludów.

Kościół katolicki — powiada wymieniony pisarz — wiernym był niezachwianie zasadzie, wygłoszonej przez sobór Lateraneński: »*Judaeos subjacere Christianis oportet et ab eis pro sola humanitate foveri*«. Niech traktowani będą żydzi z ludzkością, ale trzymani wciąż w zawisłości i jak najdalej od chrześcijan.

Na nieszczęście duch fałszywego liberalizmu chce inaczej, a nie od dziś już weszło w obyczaj nie słuchać Kościoła i poczytywać się za mędrszych i roztropniejszych od niego.

Zapoznano więc, a nieraz i pogwałcono jawnie przepisy synodów i powszechnych soborów, odnoszące się do żydów. Stąd wynikło, że żydzi rychło zbogacili się nad miarę, zdobyli i zagarnęli wszędzie towar i grosz kraju, a zamiast zostawać na stanowisku podrzędnem, zawisłem, nakładali ciężkie swe jarzmo na chrześcijan.

Gdy jarzmo to stawało się nieznośnem, tłumy wybuchały i przyszłoby do najopłakańszych gwałtów, gdyby książęta i rządy silną nie powstrzymały ich dłonią. Kościół stawał się wtenczas prawdziwym, a nieraz jedynym opiekunem żydów, i widziano Papieży, jak Jana XXII., Klemensa VI., stojących w ich obronie i przypominających ludom wiernym, iż poniesione klęski pochodziły z zapomnienia roztropnych przepisów Kościoła.

Pius IV. i Sykstus V. próbowali względem żydów pobłażliwości, i w nadziei nawrócenia ich, mnogie im czynili ustępstwa; lecz skutek zawiódł ich chwalebne oczekiwania i w lat niewiele potem Pius V. i Klemens VIII. zmuszeni byli przywrócić całą surowość pierwotnych kanonów.

»Wszyscy chrześcijanie — powiada Klemens VIII., Papież — cierpią z powodu lichwy żydów i ich oszukaństwa. Żydzi przywiedli całe tłumy nieszczęsnych do żebractwa, a szczególniej wieśniaków, prostaczków i ubogich. Takie było zdanie o żydach«.

Dodać tu jeszcze musimy, iż podobnym duchem przezorności tchnęły i u nas w Polsce, przepisy Kościoła, Biskupów. Ciekawym dokumentem, jest tu list pasterski Biskupa chełmskiego, Szembeka, wzbraniający pod grozą rezerwatu nie tylko służenie, a zwłaszcza karmicielstwo u żydów — co i dziś się przestrzega — ale nawet wydzierżawienie im gruntów, domów, folwarków.

Przodkowie nasi nie powodowali się wówczas fałszywym liberalizmem, bo go jeszcze nie było, i dlatego żydzi nie mieli wówczas tyle bogactw, tyle wpływu szkodliwego na społeczeństwo chrześcijańskie, co dzisiaj.

Gdy zaś przyszły nauki fałszywego liberalizmu, wymyślonego naturalnie przez żydów, gdy nieroztropni chrześcijanie w imię tego liberalizmu, czyli w imię wolności dla wszystkich i we wszystkiem dali równouprawnienie żydom, i przypuścili ich do całkowitej równości praw obywatelskich, żydzi skorzystali z tej wolności w ten sposób, że całą ręką czerpią korzyści z tego uprawnienia i mieszają się do wszystkich spraw chrześcijan, sami jednak nie pozwalają chrześcijanom mieszać się do ich chejderów, kahałów i innych instytucyi talmudycznych.

Uwagi nasze zakończymy wnioskami przytoczonego wyżej autora:

»Kościół katolicki od początku, wyprzedzając wszystkich polityków, poczuł, że żydzi stanowią niebezpieczeństwo i że należy ich mieć na uboczu. On bronił życia żydów, ale, jako matka narodów chrześcijańskich, pragnie je ustrzedz przed złowrogimi rządami żydostwa, niosącego duchową i doczesną zgubę. Gdyby go usłuchano, chrześcijanie nie cierpieliby tego wszystkiego, co cierpią i ponoszą ze strony żydów, a następnie nie miałyby miejsca owe napady na żydów ze wszystkiemi towarzyszącemi im zbrodniami. Tak chrześcijanie i żydzi byliby zyskali obustronnie na przestrzeganiu przepisów kościelnych!

»Tymczasem, zamiast trzymać żydostwo na uboczu, narody chrześcijańskie, zapoznając myśl i ducha Kościoła, przypuściły je do całkowitej społeczności z sobą, nadając im wszelkie prawa obywateli. I stało się, że ci obywatele nowi, zagarnąwszy przeważną część bogactwa narodowego, wpływów, prasy, dążą do zawładnienia rządami i uciskania tych, których nie przestają poczytywać za istoty nieczyste, za pogan i nieobrzezanych Filistynów.

«Wszelkie przedsiębrane tu środki próżnemi się te okażą, jedynie pomódzby tu mogło i uratowałoby nas uznawanie w praktyce dawnych przepisów Kościoła, których i państwo przestrzegać powinno i każdy chrześcijanin z osobna.

»Tak długo bowiem, jak długo żydzi będą żydami, to znaczy, aż do końca niemal świata, jedynie zbawienną polityką trzymać się na uboczu, nie maltretując żydów ani ich poniewierając, lecz też jak najmniej z nimi przestając i zapobiegając ich szkodliwości«.

Rokita na Biadaczu.

(Podanie ludu górnośląskiego).

W Opolskiem, nad rzeką Ponwią, leżą wsie Biadacz i Luboszczyce, niedaleko jedna od drugiej. Za Biadaczem ku Masowu znajduje się cmentarz, a na lewo i prawo drogi piaski, białe niby śnieg.

Straszna to okolica!

Nasz kochany Górny Śląsk jest dosyć piaszczysty, ale wszędzie są owe piaski albo lasem pokryte, albo leżą ugorem, porosłe przynajmniej szczotkowatą trawą, tak, że wyglądają niby stepy, nie szpecące krajobrazu, gdyż się przyozdabiają na wiosnę i jesień obrusem żółtych kwiatów, zwanych w Opolskiem »kokociem mlekiem«.

Inaczej tu, pod Biadaczem. Tutaj tylko wiatr pytluje piachem i zawiewa nim niby śniegiem. Tu i owdzie kupy owego piachu, niby kurhany, porosłe są dziko ponurymi jałowcami lub »ostręgami« (cierniami).

I dziwne tu nieraz grupy i figury tworzą owe rośliny jałowcowe. Gdy się idzie lub jedzie drogą o szarej godzinie, rano lub wieczorem, to zdaje się człowiekowi, że widzi najwyraźniej albo olbrzymiego niedźwiedzia, albo dalej niby pędzącego jeźdźca na koniu, albo gdzieindziej w pobliżu drogi przykucniętego do ziemi rabusia, czyhającego na przechodnia, albo zresztą wiele innych podobnych figur.

Kilkadziesiąt kroków opodal drogi stoi stary, omszały i ku ziemi nachylony krzyż, a na nim kogut, który wiatrem poruszany, obraca się i skrzypi głośno, niby wzywając przechodnia do ostrożności.

Wszystko to nadaje okolicy tej ponure piętno i smutny wygląd. Niejeden przechodzień, idąc tędy, szepce pacierze i rad jest, gdy tę okolicę ma już poza sobą.

Ale nietylko wygląd tej okolicy jest ponury, bo i w podaniu ludowem krążą o tym skrawku ziemi zwanym, »wedle kokotka«, wieści strachem przejmujące, lubo tu jeszcze nikogo nic złego nie spotkało.

Mówią, że tutaj za bardzo dawnych czasów, gdy jeszcze w Czarnowąsach był klasztor, a w Opolu na Ostrówku panowali nad naszymi przodkami nasi książęta, w tej okolicy zły duch, zwany Rokita, harce swoje dyabelskie wyprawiał, a osobliwie się dawał we znaki luboszyckiemu młynarzowi.

Ten Rokita, to powalił się do rzeki i zastawił wodę, tak, że koła młyńskie stanęły — to znowu chlustał wodą zawzięcie, że się koło szalenie zaczęło obracać i mliwo się w kamieniach spaliło — to znowu młynarczykowi urwało głowę — i takie podobne rzeczy broił.

Nie dziw, że młynarz miał zawsze biedę o młynarczyka, i niekiedy sam ze młyna we dnie i w nocy nie wychodził.

Pewnego razu był już młynarz bardzo śpiący i aby nie zasnąć, wziął skrzypce, i stojąc nad koszem, przygrywał sobie... Aż tu około godziny dwunastej w nocy zaturkotał młyn mocniej i drzwi do młyna z łoskotem się otwarły...

Na progu ukazał się niewielki mężczyzna, czarno ubrany, z czapką na głowie, przez którą niewielkie rożki

wystawały, rożki niby trzymiesięcznego wołku... Na śniadej twarzy miał przybysz zarost niby kozią bródkę, a obuwie podobne do końskich kopyt...

Młynarz poznał w przybyszu Rokitę, ale się nie uląkł. Młynarz był to mężczyzna w średnim wieku, rosły i nieco otyły; twarz miał na czysto wygoloną. Uchodził on między ludnością okoliczną za człowieka odważnego, a sam się chwalił, że będąc żołnierzem, z koniem przez Dunaj przepłynął. Służył on pod chorągwią księcia Opolskiego, który cesarzowi przeciw Turkom posiłki dawał.

Trzeba wiedzieć, że w dawnych czasach młynarze z tak zwanymi »statkowymi gburami« byli wolnymi od pańszczyzny, ale mieli też i powinności różne, jak naprzykład służbę wojskową, gdy husyta, Szwed albo Turek kraje państwowe najechał. Wtedy często pokazywał się »sztacheta« (posłaniec wojenny), a nasi Patrzkowie, Kansowie, Gralowie i inni, siadali na koń i stawiali się na dziedzińcu zamku opolskiego, oczekując dalszych rozkazów.

I młynarz, o którym mówię, służył w takiem wojsku. Mieszkanie miał duże z czterema oknami, w kącie wielki stół dębowy, w drugim kącie łóżko usłane wysoko pierzynami; na ścianie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a pod obrazem szabla, zawieszona na krzyż z pochwą. W sieni zaś wisiało siodło.

Otóż Rokita, wszedłszy do młyna, przypuścił trochę wody na stawidła, przykręcił kamieni młyńskich i pytla, niby jaki stary czeladnik, a potem przystąpiwszy do młynarza, rzekł te słowa:

— Tak pięknie grasz! Naucz mnie też!

— Czemu nie? — odpowiedział młynarz i dodał:

— Ale widzę, że będzie trudno, bo masz takie krzywe palce.

Miał bowiem Rokita krzywe pazury i długie u palcy, niby jaki dziki zwierz.

— A nie możnaby to mych palców naprostować? — zapytał Rokita.

— A czemużby nie? — odrzekł młynarz, i skinął na Rokitę, żeby szedł za nim do kąta młynnicy, gdzie stał warsztat stolarski z potężną śrubą do przytrzymywania przedmiotów, na warsztacie obrabianych.

— Wetknij sam sobie dłonie z palcami — rzekł młynarz, odkręcając śróbę.

Rokita włożył palce, gdzie młynarz kazał, poczem młynarz jął przykręcać śrubę. Drzewa ścisnęły Rokitowe pazury, aż trzeszczało, a wtedy Rokita kręcąc się krzyczał:

— Dość, dość już!

Ale młynarz z całej siły jeszcze mocniej przykręcił i roześmiał się szyderczo, że się aż za boki chwycił.

— A widzisz, mam cię, Rokito! — wrzasnął młynarz.

Rokita zaś kręcił się z bólu i ryczał przeraźliwie, groził zemstą, ale mu to nic nie pomogło. W końcu prosić zaczął, obiecując przynieść miech pieniędzy, ale i to mu nie pomogło.

Młynarz zaś pozwał stojący obok skrzyń obuch i jak okłada, tak okłada nim Rokitę za wszystkie wyrządzone krzywdy.

Ostatecznie Rokita, który szamotał się szalenie, łupnął kopytami i szarpnął sobą tak, że urwał kawał warsztatu i uciekł, odgrażając się zemstą...

Upłynęło kilka tygodni. Rokita, wziąwszy ogromną łopatę idzie, by się na młynarzu zemścić.

Uknuł sobie plan, żeby młyn osuszyć i młynarza w ten sposób zniszczyć. W tym celu chciał nowe koryto Ponwi w około Biadacza przeryć i tam wodę wszystką ściągnąć.

Przyszedłszy na miejsce, około północy, jął się roboty. Założył łopatą i ziemię wywalał gwałtownie...

Ale nagle kogut w młynie luboszyckim zapiał... I Rokita przeląkł się jakoś strasznie i natychmiast uciekł, nie dokończywszy roboty zamierzonej, i już też więcej nie powrócił...

Gdzie Rokita ziemię zrył, tam jest do dziś nad Ponwią długa i niezgłębiona struga, zwana »jeziorem Habdabdziem«. Gdzie zaś Rokita ziemię wywalał, tam są owe ponure zadymki piaskowe niedaleko cmentarza biadackiego, gdzie stoi krzyż z kokotkiem.

Takie jest podanie ludowe, które tu podałem, bo i podania, baśnie i bajki ludowe dla pamięci potomnych przechowywać należy.

ZGON KONFEDERATA.

Obozem hufce stanęły na błoniach
Spocząć; Pułaski poglądał na morze:
Złote się gwiazdy migotały w toniach
I rubinowe kąpały się zorze;
Fala za falą wstawała z zwierciadła
I szła i do nóg wodzowi się kładła.

Jeden z nich tylko druh konfederacki
Poszedł za morza, na wspomnienia smętne,
Na bojach żywot leci mu tułacki;
Szkaplerz położył na serce namiętne,
A w ręku szabla, grom na wrogów głowy,
Szabla z Najświętszą Panną z Częstochowy.

Już świt. Już wrzasły trąby ostre głosy,
Słońce wnet błysło na morze i błonia:
Pułaski szablę otarł z rannej rosy,
Przeżegnał piersi i wskoczył na konia;
Mgła się po ziemi rozścieliła ranna,
Wódz pomknął, za nim zagrzmiało: »Sadannah!«

Lecz jechał smutny i do towarzysza
Mówił o swoim zgubionym szkaplerzu:
»Wkrótce, mój bracie, będzie w sercu cisza,
»I drobna prochu garść po twym Kaźmierzu,
»Zły znak!... Duch czuje drogę bracie miły!...
»Jam się spodziewał w ojczyźnie mogiły«.

»Bez Sakramentów zginę!... Bądź Twa wola!...«
Rzekł — Sadannah już mu widne w dali;
Czwałem więc z jazdą kopnął się na pola,
Kędy Anglicy szeregami stali
I usypane reduty ze szańców
Siały kartaczów gradem na powstańców.

I w porę przypadł, bo pod jego wzrokiem
Wrzała już bitwa zacięta wśród łanów,

Już szli Anglicy wyciągniętym krokiem
Z bagnetem w ręku na Amerykanów;
Wnet jedna chwila los bitwy przeważy...
A jemu zapał zajaśniał na twarzy.

»Naprzód!« — i w dwieście poskoczyli koni,
Za bohaterem lecieli na działa,
Wiatr ich zaledwie doścignął na błoni,
Szable migały w słońcu, ziemia drżała...
I przełamali Anglików dwa fronty —
A w tem błysnęły na okopach lonty.

Zagrzmiało... »Jezus Marya!« wódz krzyknął
I padł — zwycięzca padł na polu chwały
I skonał śmiercią, do której przywyknął;
I leżał z szablą swą, jak posąg biały,
I Bóg mu rozlał na obliczu ciszę:
W około płakali druh i towarzysze.

I usypali mu grób pod Sadannach
I krzyż na grobie zatknęli bronzowy:
Niech cię przed Boga wiedzie święta Panna
Tak, jak ty w taniec wodziłeś bojowy,
A módl się za nas, niech nam Bóg obudzi
Takiego jak ty, pośród wiernych ludzi!

Albania i Albańczycy.

Nigdzie w Europie niema takiego skupienia drobnych, a różnorodnych kraików i narodów, jak na półwyspie Bałkańskim. Na północy Rumunowie, ku zachodowi serbskie plemiona Bośniaków, Hercegowińców, Czarnogórców i Serbów, dalej Bułgarzy i Turcy, Albańczycy, Macedonowie i Grecy, nie licząc Ormian, żydów, Cyganów i wielu innych. Jedne z tych ludów, tworzą dziś niezależne państewka, jak Serbia, Bułgarya, Czarnogórze, Rumunia i Grecya; inne należą dotąd do Turcyi, z pod władzy której radeby jednak jak najrychlej się wydostać; Bośnia i Her-

cegowina, dawnej i stanowiące prowincye państwa Tureckiego, dziś są wcielone do Austryi

Pomimo tak różnorodnego składu, pomimo znacznej różnicy życia i dążeń tylu ludów bałkańskich, prawdopodobnie panowałby tam już jaki taki spokój, gdyby nie to, że niektóre z nich nie są zadowolone ze swego położenia.

Tak część Bułgarów dotąd jeszcze jest pod władzą Turków, a woleliby być złączeni z Bułgaryą; Macedończycy, będąc z pochodzenia Grekami, ciążą ku Grecyi, Albańczycy zaś, którzy zawsze byli prawie niezależnymi od Turcyi, coraz wyraźniej dążą do wytworzenia osobnego państwa...

Ciekawym krajem jest Albania. Jest to najbardziej na zachód wysunięta prowincya Turcyi europejskiej, leżąca na wprost Włoch, nad morzem Adryatyckiem. Właściwie zowie się ona »Szkiperi«, to jest »Kraina skał«, sami zaś Albańczycy, zowią siebie »Szkipetarami«. Bo też cały ten kraj, pokryty jest wysokiemi górami i skałami, wśród których ciągną się głębokie wąwozy i przepaście, szumią bystre potoki i wodospady, czyniąc Albanię prawdziwie dziką, niedostępną i niezdobytą krainą.

Tym »górom i przepaściom«, ożywionym wielką miłością i poświęceniem swych półdzikich mieszkańców, Albania zawdzięcza to, że przez długie wieki, gdy inne ludy bałkańskie oddawna już jęczały pod jarzmem tureckiem, ona prawie nie widziała Turków, którzy zmuszeni byli pozostawić w spokoju walecznych górali albańskich *).

Jak wszystkie kraje górzyste, Albania nie jest bogatą. Wprawdzie na południu ziemia jest urodzajniejszą, podatną do uprawy zbóż, bawełny, oliwek, wina, morwy i tytoniu, ale większą część gór porastają lasy lub pokrywają pastwiska.

Dlatego rolnictwo jest tutaj zaniedbane, a ludność zajmuje się chętniej hodowlą bydła, koni i owiec. Miast jest bardzo mało, przemysłu niema prawie żadnego, prócz najprostszych robót domowych i jedwabnictwa dostarczającego tkanin jedwabnych na piękny ubiór narodowy.

---

*) Z dawnego życia Albanii jest piękna powieść, pod tytułem «Rycerz chrześcijański» — Warszawa 1900.

To też od najdawniejszych czasów bieda, a po części i wrodzona niechęć do ciężkiej pracy rolniczej oraz zamiłowanie wojaczki, wypychały Albańczyków w świat, na służbę do innych krajów, szczególniej do Turcyi, gdzie chętnie najmowali się do wojska pod nazwą Arnautów.

ALBAŃCZYCY.



Albańczycy północni, zwani są Mirydytami. Ci są katolicy.

W samej Grecyi żyje do dwustu tysięcy Albańczyków, a niektóre wyspy drobne całkowicie przez nich zaludnione.

Ogólna ilość Albańczyków wynosi dwa i pół miliona. Mówią oni językiem odrębnym, niepodobnym do żadnego z dzisiejszych języków europejskich. Znaczna część Albańczyków, bo blisko siedem dziesiątych części są oddawna religii mahometańskiej — i ci właśnie dostarczali Turkom najemnych żołdaków.

Dziesiątą część stanowią katolicy, a piąta część jest obrządku wschodniego.

Pomimo tej odmienności religii, która musiała wytworzyć pewne różnice w obyczajach Albańczyków, zachowali oni wiele właściwości wspólnych.

Przedewszystkiem jest to lud piękny, wysokiego wzrostu, silnej i zgrabnej budowy. Rysy twarzy ostre, surowe

ALBAŃCZYCY.



Albańczycy południowi — sturczeni.

i wyraziste, oko żywe, bujny wąs, nadają Albańczykowi wyraz męztwa i dzielności.

Wrodzoną piękność podnosi jeszcze jaskrawy strój narodowy, składający się z czerwonej, złotem i jedwabiem wyszywanej kurtki, z krótkiej, mocno sfałdowanej, przepasanej szerokim pasem spódniczki i szerokich, ukrytych w skórzniach szarawarów. Głowę okrywają fezem — czapeczką sukienną czerwoną z chwastem, — a para pistoletów i jatagan za pasem, oraz długa pięknie ozdobiona strzelba

stanowią niezbędną część nawet codziennego ubrania. To też w takim stroju nawet pastuch albański wygląda, jak poważny rycerz.

I rzeczywiście, wojowniczość stanowi główną właściwość usposobienia Szkipetara; ale też wyradza ona w nich pewną dzikość, mściwość, skłonność do okrucieństw i przelewu krwi. Lada sprzeczka prowadzi tam często do bójki, w której natychmiast biorą udział krewni i przyjaciele obu stron walczących. Rozlegają się strzały, błyszczą jatagany i nieraz z powodu głupstwa padają trupy.

Jednym z objawów tej dzikości jest dawny obyczaj krwawej zemsty rodowej, który istniał niegdyś u wielu ludów, lecz wszędzie już zaginął. Za śmierć członka rodu mści się jego rodzina na zabójcy, na jego rodzie i przyjaciołach, póki krew krwią nie zostanie spłacona. Niekiedy jednak po długich walkach, spór kończy się okupem, złożonym przez rodzinę zabójcy na rzecz ofiary. Jedna tylko zbrodnia nie może być niczem okupioną — to porwanie i zbezczeszczenie kobiety; ale też i dziewczynie, która okryje się hańbą, grozi surowa kara, a nawet okrutna śmierć przez ukamienowanie.

Albańczycy dzielą się na liczne plemiona, pozostające pod wodzą wybieranych przez siebie buluk — baszów i wojewodów, czyli starszyzny rodowej. Wojewodowie tworzą radę, w której każdy ród ma swego przedstawiciela. Rada winna pilnować spraw swego plemienia, a wobec Turków obowiązany bronić go bulak basza. Dwa razy do roku odbywają się zgromadzenia ogólne, gdzie rozbierają się sprawy, dotyczące całej okolicy.

Niektóre plemiona albańskie zachowały dotąd zupełną prawie niezależność od Turcyi i mają własnych książąt. Do takich należą M i r d y c i, mieszkający w północnej części Albanii. Jest to najdzielniejszy odłam Albańczyków: waleczni, przywiązani głęboko do dawnych obyczajów i religii katolickiej, której są najgorliwszymi wyznawcami, bronią jej przeciw wszelkim zakusom mahometanizmu. Na czele Mirdytów stoi książę, zwany »kapetanem«, mający stolicę w mieście Oroszy. Tam znajduje się pałac książęcy, — skromny, prosty, podobniejszy do dworu średnio zamożnego szlachcica, niż do siedziby panującego,

chociaż otoczony grubym murem ze strzelnicami. I obyczaje tego nworu książęcego prostsze są, niż w innych krajach: każdy może wejść swobodnie do księcia z prośbą o poradę w biedzie lub kłopocie.

Książe rządzi z pomocą »rady starszych« bez zgody, której nic sam nie może stanowić. Radę składają wojewodowi (naczelnicy rodów) i bajraktorzy, czyli chorążowie, po jednym z każdego okręgu.

W sprawach bardzo ważnych zwołuje się zgromadzenie ludowe, czyli sejm, na który każda rodzina wysyła przedstawiciela. Zgromadzenia starszyzny odbywają się zazwyczaj, na dworze książęcym — poczem książę wyprawia sutą ucztę, każąc rżnąć i piec woły, karany i kozły, jak za prastarych czasów.

Turcy nie wtrącają się prawie wcale do wewnętrznego życia Mirdytów, których jedynym obowiązkiem zględem państwa tureckiego jest wystawienie w razie wojny oddziału, po jednym wojaku z każdej rodziny, pod wodzą własnego naczelnika.

Potęga pracy.

Człowiek, jako istota wyższa od reszty stworzenia tem samem obarczony jest większymi obowiazkami od istot, które go otaczają; a te obowiązki bywają większe lub mniejsze w miarę tego, jakiemi zdolnościami Bóg go uposażył i w miarę środków, jakiemi rozporządza.

Najpierwszym obowiązkiem ziemskiem są względy rodzinne. Człowiek — to istota wyższa, z rozmysłem wypełniająca swe zadania i jako taka, przeznaczona do wznioślejszych celów. Nie to jest celem człowieka, by mu tylko dobrze było, ale by też był użytecznym. Poza obowiązkami najbliższymi, są dalsze, niemniej ważne: temi są obowiązki społeczne.

Kto ich nie pomija, a w miarę swej możności wypełnia, te ma prawo zwać się obywatelem kraju i godnym jest szacunku. Bo choćby kto wypełniał najsumienniej obowiązki rodzinne, a nie troszczył się zupełnie o ogólne

sprawy, mając możność i środki ku temu, ten byłby nieużytkiem społecznym, samolubem.

Jak pracowitość w przeciwstawieniu do lenistwa posiada wielką wagę, poucza nas o tem historya, która dodaje, jak całe narody ginęły skutkiem zasklepienia się w sobie, lenistwa — a na odwrót; czynni, pracowici, rozwijali się kosztem pierwszych.

Weźmy za przykład Amerykę, ten nowy świat, o którym nam cuda nieraz opowiadają, nie zawsze zresztą zgodne z rzeczywistością.

Europejczycy, zdobywszy tę ziemię. zastali tam już ludność miejscową, przeważnie w stanie dzikim będącą; były już i ślady kultury, ale nie wszędzie, i to nawet, co było zanikło skutkiem chciwości najeźdźców. Ale pomimo całej bezwzględności, z jaką przybysze rozpoczęli swą gospodarkę rabunkową, ci awanturnicy chciwi bogatw, złota, zawieźli jednak kulturę, która się tam rozwinęła wspaniale i dziś świat nowy w niejednem przoduje staremu.

Dali więc przykład i wzory gotowe miejscowym czerwonoskórym. Co ci czynili wobec przybyszów, czy skorzystali z przykładów?

Zamiast przyswąjać sobie to, co było wniesione do nich przez naród kulturny, skutkiem lenistwa woleli kryć się w lasach i napadać na siedziby Europejczyków, nieliczne jeszcze. Takie napady kończyły się nieraz wyrznięciem całych osad. A pomimo tych zwycięstw plemię czerwonoskóre wygasa i już dziś jest wymierającem plemieniem.

Zestawmy teraz dwie odmienne rasy: czerwonoskórych i murzynów. Pierwsi — miejscowi, liczebni, wolni, groźni dla osadników. Murzyn — to niewolnik, sprowadzony z Afryki; ale murzyn umiał pracować: za jego pracę — pęta wrzynały mu się w ciało, a skóra pękała od razów. Nie za lenistwo, bo dla swej pracy murzyn był pożądanym w każdej plantacyi, ale że to był człowiek, istota rozumna, a przez to nie byłby ślepo posłusznym, jak koń lub wół, więc by go steroryzować, by nie miał odwagi targnąć się na krępujące go więzy, obchodzono się z nim gorzej od zwierzęcia.

I patrzmy: wolny Indyanin — jest dziś gasnącem plemieniem na swej rodzinnej ziemi. A Murzyn? Ten przetrwał katusze i gdy za rządów szlachetnego Lincolna zdjęto im pęta, ci czarni niewolnicy założyli republikę w Afryce, zwaną Liberyą (co znaczy wolność) i dziś mają przyszłość przed sobą. Może przyjdzie czas, że dojdą do takiej siły, iż w wszerz i wzdłuż Afryki, za przykładem Ameryki, rozlegnie się inny okrzyk: »Afryka dla Murzynów!« wtedy, gdy czerwonoskórych znać będziemy tylko z opisów.

Oto przykład, jaką potęgą jest praca, że nawet w najtwardszej niewoli daje tę siłę spożywczą, chroniącą od zagłady.

Znamy przypowieść o Panu ewangelicznym, który wyposażył swych podwładnych nie jednakowo: jednemu bowiem dał 10 talentów, drugiemu 5, trzeciemu 1 i gdy pierwszy i drugi zarobili swymi talentami drugie tyle, trzeci swój jeden zakopał w ziemi. I pytał się Pan kolejno po skończonym czasie, ile który z nich zyskał, a dowiedziawszy się, że ostatni z nich swój talent zakopał w ziemi, odebrał mu go i dał temu, który zarobił najwięcej.

Ta przypowieść poucza nas, że nawet ci, którzy obdarzeni są najmniejszemi zdolnościami, nie mają jednak prawa być nieużytecznymi, ale choć w małym stopniu przyczyniać się do wspólnej pracy, pod groźbą kary, jaką nam zagroził sam Chrystus w tej przypowieści.

A gdy każdy z nas spełni w tem życiu swe obowiązki, odpowiednio do ilości talentów, jakiemi nas Bóg obdarzył, wtedy i w tym strasznym momencie, gdy nam przyjdzie zdawać rachunek z naszego włodarstwa na ziemi, z większą otuchą będziemy patrzeli na dopełnianie tego żywota, gdy przed tron Boży zaniesiemy nasze uczynki i nie będziemy podobni owemu słudze, który swój talent zagrzebał w ziemi.

Do pracy więc! do pracy! D o p r a c y n a d s o b ą, d o p r a c y w r o d z i n i e, d o p r a c y s p o ł e c z n e j d l a d o b r a o g ó ł u!

Zawiązki organizacyi społecznej u ptaków.

Ileż to razy, widząc gromady ptaków wylatujące jesienią w odległe kraje, poza morza i oceany, zadajemy sobie pytanie, w jaki sposób te małe i na pozór bezrozumne stworzenia potrafią kierować się w wędrówce swej, zachować konieczny w takiej gromadzie porządek, obmyślać popasy, zdobywać żywność, wreszcie powracać z wiosną do miejsc, gdzie gnieździły i lato spędzały. Wydaje się naturalnem, że do tego wszystkiego potrzeba im byłoby pewna organizacya i jak gdby rząd z wodzem na czele, jakiś mądry kierownik wybrany przez gromadę.

A jednak badania uczonych przyrodników zaprzeczają temu i dowodzą, że te olbrzymie stada ptaków zgromadzają się i wędrują tylko pod wpływem instynktu mimowolnego, nie wybierają żadnego wodza, nie dbają o swoich »bliźnich«, ściskają swe szeregi w celu ohrony tylko, zatrzymują się tam, gdzie widzą żywność obfitą, a doleciawszy do celu, rozpraszają się każdy, gdzie mu się podoba; — jednem słowem, nie znają organizacyi społecznej. Tylko zacząłki jej dają się w niektórych gatunkach zauważyć.

W Ameryce północnej znajduje się gatunek Gołębia wędrownego, który w niesłychanych masach się gromadzi i przelatuje z miejsca na miejsce, szukając żeru. Stada gołębi tych, jak szarańcza spadają na pola i wkrótce zostawiają za sobą pustynię ogołoconą z wszelkiego ziarna.

Jaskółki sprytniejsze i bardziej »uczuciowe« od gołębi zbierają się gromadnie w chwili odlotu, a poza tem nie dbają o swe towarzyszki, porzucając w drodze osłabione lub skaleczał. Wodza nie mają żadnego, ale trzymają się pewnego porządku, jak i inne wędrowne ptaki, mianowicie przodujący ptak po pewnym czasie ustępuje miejsca innemu, zajmując stanowisko mniej utrudzające w trójkącie; tę bowiem figurę tworzy najczęściej wędrowne stado ptactwa.

Niekiedy gromadzą się ptaki (wrony, jaskółki i t. d.) przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, albo też w celu wspólnego gnieżdżenia się, ale i tu rzadko dostrzedz można

ślady jakiejś organizacyi społecznej. Za to życie rodzinne u ptaków jest bardzo rozwinęte, a ptasie małżeństwa, nie mówią już o przysłowionych turkawkach, bywają niezmiernie czułe, otaczając także drobną dziatwę swoją pieszczotami i troskliwością. Przeciwnie, względem sąsiadów z pobliskich gniazd zachowują się nieraz wrogo, wszczynając kłótnie i bójki, a nawet niestety, dopuszczając się kradzieży. Prawda, że rabusie bywają karani (n. p. u gawronów) przez uczciwszych współrodaków, którzy rzucają się na złodziejskie gniazdo i niszczą je bez litości. — Ten wymiar sprawiedliwości zdaje się wskazywać pewien stopień mądrości społecznej, jak również rozsyłanie straży czy pikiety w miejsca, gdzie ma się trzymać stado ptasie. Szyldwachy krzykiem ostrzegają gromadę o grożącem niebezpieczeństwem. I tu jednak nie widać żadnego wodzireja, przeciwnie niż w stadach zwierząt czworonożnych.

Ciekawe niezmiernie spostrzeżenia poczyniono nad bezlotkami, żyjącemi w strefach antarktycznych (okolice bieguna Południowego), zwanych także mańkutami. Mańkuty bardzo mało mają ptasiej natury: podobnie raczej do fok i psów morskich, żyją przeważnie na wodzie, nurkują i kaczą po fali. Skrzydła ich grube jak pletwy, główka mała kołysze się na grubym korpusie, na lądzie dzie trzymają się pionowo i nader komicznie wyglądają, ciężkie i niezgrabne w ruchach. Uczeni Gerlach i Rakowitz potrafili zbliżyć się do osad mańkutów i przypatrzyli się ich życiu i obyczajom. Otóż każda rodzina mańkucka, składająca się z rodziców i dwojga dzieci miała wyznaczone dla siebie miejsce na gniazda i podwórko otaczające, a jak tylko gospodarz przez nieuwagę czy też umyślnie postawił łapę na podwórku sąsiada rozpoczynała się kłóinia coraz gwałtowniejsza, z wielkim wrzaskiem i hałasem. W takiż sam sposób przyjęto skradających się ostrożnie podróżników, którzy musieli ustąpić z placu, aby nie ogłuchnąć zupełnie.

Szczęściem inny gatunek mańkutów okazał się bardziej pobłażliwym, tak iż p. Rakowitz mógł się przyjrzeć dokładnie życiu ptasiej osady.

Zdziwiło go niezmiernie to, że młode nie mieszkały już w rodzicielskich gniazdach, ale zbierały się na płasko-

wzgórzu, wzniesionem ze 30 metrów nad powierzchnią morza. Młode mańkuty w liczbie może sześćdziesięciu zabawiały się czy może gimnastykowały, ale pod nadzorem starszych; kilka bowiem poważnych ptaków siedziało na krańcu, wyprostowane i nieruchome, ale czujne. Gdy tylko który z młodych ptaków zbliżył się zanadto do brzegu urwiska, dozorca otwierał wielki swój dziób i dość ostro dawał krzykliwe ostrzeżenie.

Czasami wystarczało to, ale jeżeli lekkomyślny pupil upierał się przy swojem, spadała nań dotykalna admonicya, po której, wrzeszcząc i kołysząc się, wracał spiesznie do kolegów, ze swym krągłym brzuszkiem i machającemi a grubemi skrzydełkami. Mistrz zaś spokojnie zasiadał na miejscu, złożywszy obok siebie pęczek wyrwanego śmiałkowi pierza. Nie dość na tem: ponieważ nadzorowanie młodzieży musi być utrudzające, starsze ptaki zmieniały się po kolei. Od czasu do czasu, jeden z nadzorców podnosił głowę i wydawał krzyk przeźliwy, podobny do ryku osła, na co odpowiadał natychmiast krzyk ptasi z dołu. Rzeczywiście nad brzegiem morza, u stóp urwiska spoczywało leniwie na piasku kilka starszych mańkutów. Nie chciało im się ruszyć, więc wezwanie z góry powtarzało się kilkakrotnie, dopóki jeden z rezerwistów nie zdecydował się na zluzowanie towarzysza. Otrząsnąwszy się nieco, wdrapywał się mozolnie na górę po stromej kamienistej ścieżce i zajmował miejsce na skraju platformy, a strażnik uszczęśliwiony zsuwał się spiesznie na dół i z pluskiem rzucał się w kąpiel morską. Wszystko odbywało się grzecznie i zgodnie bez kłótni.

Poczciwe ptaki na wspólnym gruncie utrzymywały publiczny pensyonat czy gimnazyum, nie troszcząc się jednak o żywność dla młodzieży, bo tę przynosili rodzice dla swoich dzieci, rozpoznając je w tłumie.

Nietylko nadmorskie ptactwo gnieździ się gromadnie, bywają i na lądzie ogromne ich kolonie, n. p. pewien gatunek wróbli w południowej Afryce: zgromadza się w liczbie kilkuset (600 do 800) dla budowania wspólnych gniazd. W tym celu wyplatają społem duży, pochyły dach z pewnego gatunku trawy. Pod tą nieprzepuszczalną pokrywą przytwierdzają swoje gniazdka jedno obok dru-

giego z okrągłemi otworkami w dół zwróconymi. Cała ta misterna budowa jest tak ściśle wykonana, że czasem przetrwa lat kilka i dopiero pod wzrastającym ciężarem załamuje się konar i wszystko razem spada na ziemię.

Jednak i u tych przemyślnych ptaszków nie dostrzegamy prawie śladów organizacyi społecznej, ani podziału pracy tak, że z wyjątkiem gawronów i papug wszystkie chwilowe lub stałe zbiorowiska ptaków wydają się najczęściej kierowane ślepym instynktem, lub potrzebą obrony od wspólnego nieprzyjaciela. Zato instynkt rodzinny wielką gra rolę w ich życiu i w tem przewyższają zwierzęta czworonożne i inne, a nawet ptactwo domowe. Być może, iż za przykładem paru wyżej wspomnianych gatunków, rozwiną w sobie i inne ptaki wyższą organizacyę, wskazującą pewną, jak gdyby roztropność, zbliżoną do zapobiegliwości ludzkiej, a w każdym raze badanie ich czynności i obyczajów niezmiernie jest zajmujące nietylko dla uczonych...

Towarzystwo czystych rąk.

Pewna podróżniczka, po powrocie z Anglii, opowiada fakt następujący:

Na jednej z ulic Londynu spostrzegła dzieci, wychodzące ze szkoły. Przystanęła, aby się im przyjrzeć i zobaczyła, że pani jakaś, stojąca przy bramie, coś dzieciom rozdaje. Zbliżyła się i ujrzała, że dzieci pokazują owej pani ręce, ona je ogląda i tym, które mają czyste, daje z koszyka drobne zabawki, notesiki, scyzoryki i t. p. Które zaś miało palce choćby atramentem pobrudzone nic nie dostawało.

Gdy dzieci przeszły, podróżniczka wdała się w rozmowę z ową panią i dowiedziała się, że jest ona członkiem »Towarzystwa czystych rąk«, które w taki sposób krzewi wśród dziatwy czystość. Jest delegatką do sześciu szkółek. Raz na tydzień zjawia się przed każdą szkołą z koszyczkiem, zawierającym podarki. Dzieci nie wiedzą,

którego dnia pani przybędzie, więc starają się codzień ręce utrzymywać w czystości.

— Towarzystwo nasze — tłómaczyła delegatka — wychodzi z zasady, że czystość rąk, to rzecz w zakresie hygieny ciała najważniejsza, skłania do dbania o czystość całej osoby i otoczenia, więc, choć w skromnym zakresie, racyonalnie i celowo krzewi wśród swego społeczeństwa rzecz pożyteczną i niezbędną. Zawartość jednorazowa koszyka kosztuje nas około 2 szylingów (2 kor. 50 hal.) czyli na jednę szkołę rocznie około 4 funtów szterlingów (75 koron). Za tę sumę i pół godziny lekkiej pracy, poświęconej kilkudziesięciu niezamożnym dzieciom, osiągamy stosunkowo wiele dobrego. Składka członkowska kosztuje.. 2 szelingi rocznie.

Delegatka wyjaśniła, dalej, że jest starszą sklepową, i że Towarzystwo wyrobiło jej urlop półgodzinny dziennie na owo rozdawnictwo.

Podróżniczka opowiadała dalej o jeszcze ciekawszej czynności Towarzystwa.

Przed ubogim domem zatrzymuje się powóz, wysiada pani, trzymając w ręku coś jakby biały welon i młoteczek, i wchodzi do bramy. Po dziesięciu minutach wraca bez owego welonu, wsiada do powozu i odjeżdża.

Pani ta — to czynny człowiek »Towarzystwa białych firanek«. Ma swoje 2 do 3 ulic. Wyszukuje najuboższe domostwa, wchodzi i prosi grzecznie o pozwolenie zawieszenia firaneczek. Czasem nie pozwolą, ale najczęściej zgadzają się. Wtedy delegatka na poczekaniu przybija firaneczki i jedzie dalej.

Podobno w ubogich mieszkaniach, gdzie najczęściej promień słońca nie dochodzi; gdzie zawsze jest czarno, ponuro i smutno, tam takie białe firaneczki zachęcają ogromnie mieszkańców, zwłaszcza kobiety, do dalszego porządku w mieszkaniu. Czystość przenosi się z okna na stół, ze stołu na łóżko, a z łóżka na podłogę. Zrestą po dwóch tygodniach owa pani znowu przyjeżdża, zdejmuje brudne firanki, a zawiesza czyste Bywa różnie, bo czasami niedbali i niechlujni ludzie drą i wyrzucają firanki, ale to pań z Towarzystwa nie zraża.

U nas nikomu taka drobna, a żmudna praca nie przyjdzie do głowy. A praca ta działa skuteczniej, niż suche nauczanie hygieny.

Słowa ministra o alkoholu i zbrodniach.

W końcu października roku zeszłego odbyło się w Londynie (stolicy Anglii) wielkie zebranie, na którem przemawiał także angielski minister skarbu Mr. Loyd George »o alkoholu i reformach społecznych«. Zaznaczył on, że wszelkie rozprawy parlamentarne, a nawet prawa wydane dla ochrony robotników i polepszenia ich bytu nie przyczynią się do zaradzenia ich nędzy i podniesienia ich moralnego, dopóki będzie istniał przemysł alkoholowy, doprowadzający warstwy pracujące do zwyrodnienia fizycznego i moralnego.

Potem rowodził się minister nad wpływem alkoholu na mnożenie się zbrodni i przytoczył w tym względzie zdania wielu prawn:ków i uczonych, którzy wykazali dowodami, że przeważna część zabójstw, napaści, gwałtów, poranień są skutkami pijaństwa.

Kto tedy na seryo pragnie poprawy bytu warstw pracujących, a szczególnie podniesienia ich poziomu moralnego, powinien przedewszystkiem zabrać się do walki z napojami alkoholicznymi.

Koronacye angielskie.

Z upadkiem cesarstwa rzymskiego ustały także koronacye w Frankfurcie nad Menem i powoli znikła w Europie prawie zupełnie ta ceremonia oznaczająca obejmowanie godności monarszej.

Od lat 50 nie odbywają się też koronacye królów pruskich w Królewcu, a i ta koronacya, przy której król pruski wkładał sobie sam koronę na głowę, była tylko

suchem aktem państwowym, bez średniowiecznych symbolicznych obrzędów.

Tylko car rosyjski i król angielski, otrzymują do dziś dnia koronę z zachowaniem tych samych ceremonij, jakie istniały w dawnych wiekach. Co do zachowywania bowiem różnych zwyczajów, jest Anglia najbardziej konserwatywną monarchią na świecie; obyczaje liczące sobie tysiąc lat istnienia, przechowują się do dnia dzisiejszego bez najmniejszej zmiany i uszczerbku.

Miejscem koronacyi jest »Opactwo», jak brzmi jego nazwa zwyczajowa, czyli kollegiata św. Piotra w Westminsterze, według brzmienia nazwy oficyalnej. O katedze św. Pawła w City powiadają dziś jeszcze Anglicy, że sam Apostoł położył jej kamień węgielny. O opactwie św. Piotra w Westminsterze utrzymywała się czas jakiś taka sama legenda, ale zarzucono ją już w wiekach średnich. Natomiast powstała tradycya, że św. Piotr osobiście uczestniczył przy konsekracyi kościoła. Rybak jakiś miał go przewieść z prawego brzegu Tamizy, by Apostoł udzielić mógł błogosławieństwa dokonanemu dziełu.

Król Edward Wyznawca (1042 do 1066) dokonał budowy kościoła i znacznie go powiększył. Od tego czasu wszyscy królowie angielscy w nim byli koronowani, niektórzy spoczęli tam w grobach. Pierwszym, który w opactwie koronę otrzymał, był nieszczęśliwy ostatni król pierwotnych mieszkańców Anglii, Saksonów, Harold, który wkrótce później w walce z Wilhelmem Zdobywcą padł w bitwie pod Hastings. Wilhelm sam następnie koronował się w Westminsterze, a w akcie koronacyi uczestniczyli zarówno Normanowie, jak pokonani Saksonowie.

Nienawiść i nieufność rozdzieliła jednak oba narody. Wśród ceremonii koronacyjnej powstał tumult i zamięszanie. Obie strony mniemały, że każdą z nich sprowadzono tam zdradziecko, by ją wymordować. Chwycono za oręż. Przyszło do krwawej walki. Kościół opactwa opustoszał, pozostał w nim tylko król Zdobywca, który zatrzymał Arcybiskupa i rozkazał mu włożyć sobie na głowę koronę.

Podobnego rodzaju krwawe sceny powtarzały się nieraz jeszcze przy późniejszych koronacyach. Gdy wstępował na tron król Ryszard Lwie Serce, przybyło do Londynu

wielu żydów angielskich, którzy na zgromazzeniu w City uchwalili złożyć królowi »dar dobrowolny«, następnie zaś postanowili wziąć udział w ceremonii koronacyjnej.

Ale Ryszard Lwie Serce nie cierpiał żydów i wydał rozkaz, by ich do świątyni nie wpuszczano. Gdy stanęli przed jej bramą, straż królewska uderzyła na nich z mieczami. Powstał gwałtowny rozruch, wśród którego wielu »niewiernych» utraciło życie. Tłum zgromadzony w kościele słysząc zgiełk walki orężnej, myślał w pierwszej chwili, że przygotowano powstanie i zajął obronną postawę. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy mu oznajmiono, że zginęło wielu żydów i uznał to za dobrą wróżbę, mianowicie, iż za nowego króla wrogom chrześcijaństwa źle się dziać będzie.

Wiele jeszcze późniejszych koronacyj wzbudzało niepokój w tłumie »przywiąza nymdo dynastyi«, gdyż po ostatnie czasy prawa do tronu angielskiego, były przedmiotem licznych protestów ze strony innych rodzin mających pretensye do tronu i pociągały za sobą obawę, że w czasie aktu koronacyjnego protesty te będą dokumentowane.

Stąd powstał zwyczaj, że w czasie koronacyi »rycerz króla« w pełnym rysztunku wjeżdżał na koniu do hali Westminsteru, trzykrotnie rzucał na ziemię rękawicę i wielkim głosem wzywał do walki wszystkich tych, którzyby rościli sobie prawa.

Po raz ostatni ceremonię tę wykonano za koronacyi Jerzego IV. w roku 1820, później jej zaniechano ze względu na to, że w czasie panowania Jerzego IV. zmarł ostatni ze Stuartów. Ale pozostali jeszcze przy życiu zwolennicy Stuartów i do dziś dnia w Anglii istnieją. Po śmierci królowej Wiktoryi, w nocy na drzwiach pałacu, przybito jej następcy dokument protestujący przeciw objęciu tronu przez Edwarda VII.

Rytuał ceremonii koronacyjnej spisany jest w książce *Liber Regalis*, kodeksie przechowywanym w opactwie, a pochodzącym z XIV. wieku. Ceremonia trwa obecnie około 4 godzin. ustalona jest w najdrobniejszych szczegółach i rozpada się na 20 rozdziałów. Pierwszym jej aktem jest uznanie króla. Arcybiskup Canterbury zwraca się w kościele

ku czterem stronom świata, na wschód i na zachód, północ i południe, wołając donośnym głosem

— Panowie *(Sirs)*, oto przedstawiam wam tu Jerzego, niewątpliwego króla tego państwa. Czy chcecie złożyć mu hołd i przysięgę?

Na to wszyscy zgromadzeni w świątyni z oznakami radości obwołują monarchę. Król przystępuje wtedy do złożenia swojej przysięgi, iż »rządzić będzie stosownie do statutów parlamentu, praw i obyczajów kraju«. Arcybiskup intonuje hymn *Veni Creator*, poczem następuje namaszczenie króla świętymi olejami.

W czase tego rozlega się pieść chóru Händla z pierwszej biblijnej księgi królów »Zadok kapłan i Natan prorok namaścił Salomona«. Powoli spływa z starodawnej złotej ampułki w kształcie ptaka, olej św. na głowę, piersi i ręce króla, który zajmuje miejsce na tronie drewnianym pochodzącym z czasów Edwarda I. Pod tym tronem znajduje się relikwia »kamień ze Skone», czyli »kamień przeznaczenia«, według legendy ten sam, na którym zasypiał patryarcha Jakób w Betulii. Właściwie zaś pochodzi ten kamień z wysp szkockich. Starzy naczelnicy celtyccy siadali na nim podczas koronacyi.

Następnie zakładają królowi ostrogi, opasują go »mieczem państwa», i oblekają go w ornat monarszy. Teraz dopiero odbywa się ceremonia inwestycyi *per annulum et baculum*, przez pierścień i miecz. Miecz państwa, jest mieczem dwusiecznym w czerwonej pochwie; król następnie wraca go państwu, otrzymując w zamian opłatę w wysokości stu szylingów. Oprócz tego używane są jeszcze w ceremonii miecze sprawiedliwości duchownej i świeckiej, oraz mistyczny miecz *Curtana* — tępy, który oznacza prawo monarszej łaski.

Arcybiskup Canterbury wkłada na głowę królowi złotą koronę. Lud wybucha okrzykami, a w tejże chwili wszyscy parowie nakrywają głowy koronami szlachectwa, jednocześnie zaś rozlegają się surmy trąb i uderzają wszystkie działa Toweru.

Korona sporządzona jest według starożytnego wzoru. Sama nie pochodzi z dawnych czasów, gdyż Oliver Cromwell i jego parlament rozkazali dawne insygnia koronne

przetopić na monetę, by zasilić w ten sposób skarb państwa. Korona jest tak ciężką, iż dzisiaj monarchowie nie mogą jej długo utrzymać na głowie, zastępuje się też ją po kilku minutach złotą obręczą.

Po korouacyi odbywa się czołobitność parów. Składają ją oni osobiście, lecz według kategoryi swych godności szlacheckich. Naprzód idą szeregiem książęta, później margrabiowie, hrabiowie, baronowie, reprezetowani przez najstarszych przedstawicieli rodów.

Po tem dopiero odbywa się koronacya królowej. Ceremonia kończy się aktem religijnym i odśpiewaniem hymnów pobożnych.

BARBARZYŃCY.

W starożytnym Egipcie był w powszechnem użyciu zwyczaj, iż wstępujący na tron władca usuwał napisy i wizerunki swych porzedników, wyryte na posągach kolumnach i ścianach świątyń. Tym sposobem król Ramzes II. uchodził w oczach greckich historyków za jednego z największych królów Egiptu. Dopiero nowsze badania wykazały, że przebiegły Faraon zręcznie pozacierał wszelkie nazwiska, odnoszące się do jego przodków, a w miejsce ich imion kazał umieścić swoje.

Tak więc starożytni Egipcyanie byli niekiedy mimo wysokiej oświaty barbarzyńcami, niszczącymi dzieła minionych pokoleń i usuwającymi barbarzyńską ręką wszelkie świadectwa ich istnienia. Działo się to jednak na setki lat przed Chrystusem, a więc w czasach, gdy prawo silniejszego panowało bezwzględnie i gdy jeszcze miłość bliźniego była społeczeństwu ludzkiemu zupełnie prawie nieznana. Wynika stąd jasno, że to, co uchodziło w państwie Faraonów trzy i pół tysiąca lat temu, nie może ujść żadną miarą cywilizowanym ludom Europy w wieku dwudziestym.

A jednak jest kraj w Europie, kraj, który jeszcze przed 40-tu laty kierował polityką europejską, a i dziś przoduje jeszcze światu w postępie nauk i sztuki, — kraj

francuski, gdzie są ludzie, którz prześladowaniem religii katolickiej chcą dorównać dawnym barbarzyńcom.

Mamy tu na myśli tegoroczny okólnik masonów francuskich, którzy treścią swą przynosi hańbę cywilizacyi ludzkiej.

Nie zdoławszy bezwzględnemi ustawami stłumić w narodzie francuskim życia chrześcijańskiego, wymyślają masoni wszelkie możliwe projekty wiodące do zniszczenia duchowieństwa i zatarcia najdrobniejszych śladów istnienia społeczności katolickiej. Najpierw tedy domagają się masoni francuscy zakazu noszenia ubrań i oznak kapłańskich poza obrębem kościołów. A więc usunąć suknię duchowną z ulicy, odzwyczaić lud od jej widoku, ograniczyć ją do kazalnicy i ołtarza. Kapłanowi katolickiemu we Francyi nie wolno będzie ukazywać się w stroju, który wyobraża powagę i dostojeństwo Kościoła oraz wymownie świadczy o jego posłannictwie. Natomiast każdemu człowiekowi wolno przybierać się w chałaty i nieobyczajne stroje...

Idźmy jednak dalej... Pachołkowie żydostwa chcą zniszczyć przepiękne objawy czci religijnej, jak procesye i nabożne obchody. Będzie więc dozwolonem urządzać w dniu 1-go maja olbrzymie pochody socyalistyczne, będzie można nosić przed nimi czerwone płachty i tablice, pokryte hebrajszczyzną — ale biada katolikom, którzyby z wizerunkiem Bogarodzicy w ręce i starą pieśnią na ustach wyszli poza obręb murów kościoła!

Projekty te są widocznym znakiem powrotu pierwszych wieków chrześcijaństwa. Toć i rzymscy cesarze nic innego nie robili, tylko prześladowali wyznawców krzyża i zmuszali ich do życia w podziemiach. Różnica między Neronami i Dyoklecyanami, a masoneryą tylko ta, że pierwsi karali śmiercią opornych, ta ostatnia zaś jest jeszcze za słaba, aby w ten sposób z przeciwnikami postąpić. Może zaś być, że niejeden chrześcijanin wolałby śmierć męczeńską, niż życie w takich warunkach.

Dalsze zakazy dowodzą tylko jeszcze większego upodlenia duszy masonów francuskich. Oto n. p. projektują masoni, aby wydano zakaz używania dzwonów albo zniesienia wszelkich insygniów religijnych, znajdujących się na

pomnikach i na jakiemkolwiekbądź publicznem miejscu. Chcą więc masoni poobalać figury i posągi Świętych przed kościołami i powywracać krzyże przydrożne. Nie potrzeba chyba dodawać, że w projektach tych odnajduje się odwieczną nienawiść żydostwa do Chrystusa.

Niemniej ohydnym jest następny wniosek, żądający zakazu wystawiania i noszenia na drogach, placach, gmachach i wszelkich wogóle miejscach publicznych, jakoteż w kościołach jakichkolwiek chorągwi, prócz narodowych francuskich lub chorągwi należących do zatwierdzonych stowarzyszeń. Myśl jawna. Ponieważ Kościół katolicki, jako całość, należy do związków, niezatwierdzonych przez rząd masońsko-socyalistyczny, nie miałby więc prawa wywieszania swych odznak. Znowu zatem pierwsze lepsze towarzystwo żydowskie mogłoby umieścić płachtę u wejścia do swego lokalu, dozwolone byłoby też używanie czarnych, czerwonych i nie wiem już jakich chorągwi; jedynie tylko wywieszanie sztandarów kościelnych uważałoby państwo za przestępstwo.

Projekt karania księży za udzielanie dzieciom szkolnym nauki religii, jest jaskrawym dowodem, jak masoni i radykali pojmują wolność nauki i wyznania.

Wreszcie żądają kasaty wszystkich kongregacyj, nawet takich, które pełniąc służbę miłosierdzia u łoża cierpiącej ludzkości, wypisały złotemi głoskami imię swoje w dziejach Kościołach i cywilizacyi...

Kto takie pomysły na seryo snuje i pragnie je w czyn wprowazić, tego inaczej nazwać nie można jak tylko barbarzyńcą.

Rozmaitości.

Zawrotne cyfry.

W roku 1901 obliczono majątek rodzinny wiedeńskich Rotszyldów i oceniono stan czynny nad 11 tysięcy milionów. Jeżeli przypuścimy, że cały ten kapitał przynosi tylko 4 prc. rocznego dochodu, to będziemy mieli liczbę

rocznego dochodu Rotszyldów wiedeńskich w kwocie czterysta czterdziestu milionów koron.

Jeżeli całoroczny dochód Rotszyldowski podzielimy na 365 dni, to zobaczymy, że rodzina Rotszyldów wiedeńskich posiada dochodu dziennego więcej niż jeden milion dwieście tysięcy koron, że przeto każda godzina przynosi około pięćdziesiąt tysięcy koron, minuta około 833 koron, każda sekunda około czternastu koron dochodu. Tak było przed dziewięciu laty — o ileż więc w tym czasie powiększył się jeszcze majątek tej rodziny.

Przysięga dzieci.

Ciekawe ze względu na wychowanie amerykańskie szczegóły znajdujemy w jednym z ostatnich numerów *New Jork Amcrican*. Pismo to podaje tekst przysięgi, jaką przed niedawnym czasem złożyć musieli wszyscy uczniowie w szkołach Stanów Zjednoczonych.

Treść tego aktu brzmi, jak następuje: „Przysięgam, że nie będę swawolnie niszczył drzew, ani kwiatów; przyrzekam uroczyście, nie nie będę spluwał na podłogę tramwaju, pokoju szkolnego i wogóle jakiegokolwiek gmachu publicznego; nie będę nigdy rzucał papieru lub resztek jedzenia na ulicę, w parku lub miejscu publicznem; będę zawsze i względem każdego człowieka grzeczn ; będę opiekował się ptakami; będę szanował cudzą własność w równej mierze, jakbym dbał o swoją; przyrzekam wreszcie być wiernym i prawym obywatelem państwa“.

W ten sposób amerykańska szkoła zaszczepia w sercach dziecinnych, myśli głębsze, które w dziecku od lat najmłodszych mają wyrabiać poczucie obowiązków obywatelskich.

Oryginalna sprzedaż.

W Chicago niejaki Karol Kittrick, liczący lat 41, chorujący na nieuleczalną i nie bardzo znaną lekarzom chorobę, sprzedał dozorczyniom szkoły medycznej „National Medical University College“ swoje ciało za 7 dola-

rów. W kontrakcie powiedziane było, że sprzedaje „serce, duszę i ciało“.

Kittrick umarł i dozorczynie zaraz objęły w posiadanie jego zwłoki. Ciało wystawione będzie na sprzedaż, na co z pewnością kupcy lekarze się znajdą, którzy będą chcieli chorobę nieznaną lepiej zbadać. — Tak to Amerykanie handlują, czem tylko mogą.

Dziwny zwyczaj.

Istnieje w Niemczech w niektórych powiatach zwyczaj dziwny, że nie żony przyjmują nazwiska mężów po ślubie, lecz przeciwnie mężowie wraz z ręką i posagiem żony biorą i jej nazwisko. W Niemczech zapatrują się na tę kwestyę z czysto ekonomicznego stanowiska i uważają to za rzecz zupełnie naturalną. Mąż przyjmuje nazwisko żony wówczas, jeśli wchodzi w jej majątek, który od lat wielu należy do jej rodziny.

Jeśli n. p. dobra w pewnej miejscowości należą do właściciela Webera i w całym powiecie znane są one jako takie, to jeśli córka Webera wychodzi za mąż, to mąż jej musi przyjąć nazwisko Webera. Uzasadniają to zaś tem, że lud w okolicy przyzwyczajony do tego miana nie mógłby zoryentować się, gdyby właściciel zmienił nagle nazwisko.

Dziwaczne skąpstwo.

Od czasu do czasu zdarza się słyszeć, iż milionerzy ulegają napadom sknerstwa, graniczącego z obłędem i pod wpływem tej manii pędzą życie, jak ostatni nędzarze. Oto niedawno odszukano w największej nędzy, zaginioną przed laty pannę Jane Perkins Williams, znaną niegdyś milionerkę, zaćmiewającą nawet słynną bogaczkę Hetty Greens.

Dziwaczka osiedliła się w nędzy, biedzie i brudach, w najuboższej dzielnicy New-Yorku. Miss Williams liczy obecnie 70 lat. Zapytana odmawia polici wszelkich wyjaśnień o powodach swego nędznego życia pustelniczego, jakie pędzi od lat 10-ciu. Tożsamość jej osoby stwier-

dzona została na podstawie listów, znalezionych w jej budzie z desek.

Przez czas swego życia pustelniczego żywiła się tylko mlekiem, z którego flaszki zapełniały wszsystkie kąty jej siedziby, szczelnie zamykanej, pełnej kurzu i brudu. Łóżko zastępowała jej stara kanapa, zawalona staremi dziennikami.

Pod stosami tych tysięcy dzienników odnalazła policya rozmaite walory i papiery ogólnej wartości przeszło 2 miliony koron. Stwierdzono również, że panna Williams złożyła oprócz tego w różnych bankach przeszło 2,100.000 koron w depozycie. Policya natrafiła wypadkowo na dziwaczkę, gdyż sąsiedzi uskarżali się na nią. Przewieziono ją do sanatoryum celem zbadania jej stanu umysłowego, budzącego podejrzenie poważnego zboczenia.

Sobotwór z drzewa.

Rzeźbiarz japoński Hananuma Masakichi wykonał własny swój sobowtór rzeźbiony w drzewie. Podobieństwo rzeźbionej postaci jest tak wielkie, że budzi podziw wśród ziomków artysty, którego niepodobna odróżnić od posągu, gdy przy nim stoi. Masakichi użył do tego arcydzieła 2.000 kawałków drzewa, które są jednak tak dobrze złożone w jedną całość, że spojenia są niewidzialne dla oka. Każda zmarszczka na skórze, każda nierówność skóry są niesłychanie dokładnie odtworzone przez artystę. Prócz tego Masakichi zaopatrzył starannie głowę swego sobowtóra włosami, aby złudzenie było jeszcze zupełniejszem.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.